



SHADOW PAST #1



1.



Brooklyn, 1942.

Przeszłość w swojej potworności wyciągnęła po niego paskudne łapska, próbując pochwycić go w swoje mroczne objęcia i ukołysać do snu wiecznego. Przeszłość bywała okrutna, ale pomimo tego, potrafił znaleźć w niej światełko nadziei, które przyświecało mu w upartym dążeniu przed siebie.

James miał wrażenie, że zaraz się udusi, tak było gorąco. Siedzieli wraz ze Stevem w jego ciasnym pokoju, mając nadzieję na choć odrobinę więcej powietrza, niż było go na dworze. Ale nawet dziurawy w wielu miejscach koc po mamie Rogersa, zarzucony na okno nic nie dawał, nie chronił przed lejącym się z nieba żarem. Barnes rozpiął jeszcze jeden guzik białej koszuli i podciągnął rękawy, licząc na to, że zrobi mu się przez to chłodniej, ale szybko się okazało, że to nie zadziało. Ubrania drapały niewygodnie o skórę przy każdym, nawet najmniejszym ruchu, jak choćby przy oddychaniu, gdy klatka piersiowa to unosiła się, to opadała. Miał wrażenie, że zaraz tego nie wytrzyma.

Spojrzał na Steve'a, który radził sobie chyba podobnie do niego. Jego spocona koszula lepiła się miejscami do ciała, chociaż od dobrej godziny nie robili nic, poza siedzeniem tutaj i rozmową. Po prostu siedzieli i pocili się na potęgę. Wydawało się, że nawet rozmowa ich zmęczyła, bo od dłuższego czasu siedzieli w całkowitej ciszy. Barnes widział, jak Steve spogląda na swój szkicownik, najwyraźniej zastanawiając się, czy po niego sięgnąć, a James za każdym razem unosił brew, jakby chciał zapytać „serio, Steve?”, przez co ten najwyraźniej rezygnował z tego pomysłu.

— Nie wytrzymam tego — powiedział w końcu Bucky, a kiedy

usłyszał pytanie, dochodzące nie od strony Steve'a, a od drzwi, obejrzał się na nie, żeby zobaczyć w nich siostrę swojego przyjaciela — Stephanie.

Ona, w przeciwieństwie do nich, wyglądała świeżo, jakby upał nie robił na niej żadnego wrażenia, albo jakby dopiero co wyszła z chłodnego prysznica i jeszcze nie zdążyła się zagrzać. James bardzo chciałby wiedzieć, jak ona to robi, bo czuł się i wyglądał pewnie jak spocony szczur. Na ustach dziewczyny malował się lekki, przyjazny uśmiech i spoglądała raz na jednego, raz na drugiego, jakby chciała samą myślą odgadnąć, co takiego robią.

— Steph, dołącz do nas — powiedział James. Bardzo lubił jej towarzystwo i nie miał nic przeciwko, żeby pomilczała z nimi. Prawdopodobnie to skłoniło Steve'a do wzięcia w końcu szkicownika, uznając, że Barnes ma teraz zajęcie w postaci jego siostry. — Nic takiego, siedzimy i staramy się nie umrzeć z gorąca. Wspaniała zabawa. Spodoba ci się — dodał, puszczając do niej oko. Zdążył zauważyć, jak Steve przewrócił oczami na ten gest, ale nic nie powiedział. — To jak, fotel jest cały twój — powiedział, wskazując na wyświechtany, ale wciąż funkcjonalny fotel.

Chwilę później Steph rzeczywiście zajęła w nim miejsce, na początku siadając trochę niepewnie, jakby w obawie, że fotel złamie się pod jej ciężarem, ale później odprężyła się, czując się całkiem swobodnie.

Steve, zgodnie z oczekiwaniami Jamesa, rzeczywiście sięgnął po szkicownik, otworzył go na ostatnio zamalowanej stronie i popukał się ołówkiem w czoło, najwyraźniej zastanawiając się, co powinien namalować. Wtedy też Steph zadała pytanie o to, co robili cały dzień.

James odwrócił się na krześle w jej stronę, ignorując przy tym cichy protest Steve'a, który najprawdopodobniej już wybrał sobie odpowiedni kadr, a Bucky zniszczył go swoim ruchem, i spojrzał na nią.

— Nic takiego — odpowiedział po namyśle. — Łaziliśmy po mieście, byliśmy na lodach, ale te roztopiły się szybciej, niż zdążyliśmy je zjeść, a później przyszlismy tutaj w poszukiwaniu cienia i ochłody, ale niewiele to pomogło.

Stephanie kiwnęła głową i spojrzała z troską na swojego brata. Wiedziała, że taki upał mu nie służył. James powiódł za jej wzrokiem i również spojrzał na swojego przyjaciela, który przez dłuższą chwilę jedynie zerkał na nich i wracał spojrzeniem do szkicownika. Dopiero po kilku długich minutach, kiedy wciąż na niego patrzyli, uniósł wzrok i rzucił:

— Na co się tak gapicie?

Oboje, Steph i Barnes, wybuchnęli śmiechem, a następnie spojrzeli na siebie, w niemym porozumieniu.

— Na nic, Steve. Na nic.



Brooklyn, 1943.

— Mogę tak cały dzień — usłyszał znajomy głos, dochodzący z zaułku i już doskonale wiedział, co się tam dzieje. Pospieszenie wszedł w zaciemnione miejsce i chwycił przeciwnika za ubranie, odpychając go jak najdalej od swojego przyjaciela.

— Wybierz kogoś swojej postury — rzucił, by chwilę później uchylić się przed ciosem i wyprowadzić swój. Kiedy mężczyzna zatoczył się, dostał jeszcze

mocnego kopniaka w sam środek miejsca, gdzie plecy traciły swoją szlachetną nazwę, co skutecznie skłoniło go do opuszczenia zaułku. Barnes odwrócił się do Steve'a, podchodząc do niego.

— Czasem mam wrażenie, że lubisz dostawać w kość — powiedział.

— Już go miałem na linach — odparł Rogers od razu, ale on zainteresował się tym, co leżało na ziemi. Podniósł stertę papierów i rozłożył jeden z nich.

— Tym razem jesteś z Paramus? — zapytał, patrząc na przyjaciela sceptycznie. — Nie można kłamać w formularzu poborowym. — Rozłożył następną kartkę. — Z Jersey? To żart?

Steve właśnie w tej chwili przestał otrząpywać z brudu swoje ubranie i w końcu spojrzał na Barnes'a. Jego wzrok powiedział mu wszystko.

— Gdzie cię przydzielili? — zapytał Rogers.

— Do sto siedem. Sierżant James Barnes. Jutro wypływam do Anglii.

Steve prychnął cicho pod nosem i powiedział:

— Też powinienem.

Bucky jeszcze przez chwilę spoglądał na Steve'a, aż w końcu wziął go pod ramię, uśmiechając się.

— Moja ostatnia noc. Trzeba cię doprowadzić do porządku.

— Czemu? Gdzie idziemy?

— Do przyszłości — odpowiedział James, podając Rogersowi gazetę, w której było napisane o ekspozycji przyszłości. — Najpierw odstawię cię do siostry.



Steph otworzyła niemal od razu, kiedy tylko zapukał do drzwi. Nie pozwolił Steve'owi użyć klucza, bo wiedział, że przyjaciel od razu schowałby się w łazience, nie dając się obejrzeć siostrze. Ale kiedy tylko drzwi otwały się, Rogers i tak prysnął spod jego ramienia i pobiegł do łazienki. Steph spojrzała za nim, a następnie zerknęła na Barnes'a.

— Tak, znowu — odpowiedział jej na pytanie, mając ochotę przewrócić oczami. Oboje doskonale znali Rogersa i jego wybryki, kiedy próbował mierzyć się z o wiele większymi od siebie przeciwnikami. Uśmiechnął się na jej następne słowa. — Zauważyłaś — powiedział, unosząc podbródek z dumą. — Do sto siedem, sierżant James Barnes — powtórzył to samo, co powiedział najlepszemu przyjacielowi. — A teraz powinnaś zająć się bratem, tym razem nieźle oberwał, a ja będę czekać na was na miejscu.

Nie pozwolił Steph zadać następnego pytania, tylko odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, nie potrafiąc zmazać z twarzy szerokiego uśmiechu.



Zobaczył ich z daleka, burzę blond włosów i niemal tego samego wzrostu, co ona, jej brata z równie jasnymi włosami. Uśmiechnął się, chociaż oni wciąż nie

widzieli jego, rozglądali się po tłumie, najwyraźniej właśnie go szukając.

— Przepraszam najmocniej, drogie panie — powiedział do dam, które dotąd dotrzymywały mu towarzystwa i w akompaniamencie rozczarowanych westchnień, oddzielił się od nich, ruszając w stronę przyjaciół. Uniósł rękę i pomachał im, żeby go zauważyli, a kiedy tylko tak się stało, spotkali się w połowie drogi.

— Steph, Steve, super, że jesteście — powiedział na przywitanie. — Muszę wam coś pokazać. Coś naprawdę ekstra — dodał, chwytając ostrożnie dziewczynę za przegub ręki, a ona chwyciła swojego brata, po czym zaczęli przeciskać się przez tłum. W końcu udało im się przepchnąć na sam przód ekspozycji wiszącego nad ziemią samochodu. — Czy to nie cudowne? — zapytał ich i spojrzał na nich, tylko po to, żeby się przekonać, że Steve gdzieś zniknął. — Gdzie jest twój brat? — zapytał, a uśmiech, który dotąd malował się na jego twarzy, całkowicie zniknął. Włączyła mu się obawa, jak przy młodszym bracie, który zniknął gdzieś w tłumie. Stephanie włączył się podobny radar i odwracała się na wszystkie strony, starając się znaleźć brata. Wreszcie zobaczyli go w tym samym momencie pod jedną z ekspozycji wojskowych.

Steve stał przed posturą żołnierza, jednak był za niski, żeby jego twarz znalazła się w lustrze. Barnes wraz ze Stephanie podeszli do niego. W lustrze, zamiast twarzy Rogersa, pojawiła się twarz Barnesa, a sam Steve odwrócił się do nich, lekko zakłopotany.

— Nie znikaj tak więcej, twoja siostra i ja bardzo się o ciebie martwiliśmy, nagle gdzieś nam zniknąłeś — strofował przyjaciela, który i tak nie był w najlepszym humorze, a to tylko mu go zepsuło jeszcze bardziej. James westchnął cicho do siebie, po czym objął przyjaciela jednym ramieniem. — No, już w porządku, Steve — powiedział cicho i spojrzał ponad jego głową na Steph, która chyba uważała dokładnie tak samo. — Muszę już iść — dodał po chwili, puszczając Rogersa z uścisku. Podeszedł do Stephanie i chwycił jej dłoń, której wierzch pocałował. — Dziękuję za miłe towarzystwo — dodał, po czym odsunął się, przez jakiś czas idąc tyłem. Zasalutował im.

— Nie rób niczego głupiego! — krzyknął za nim Steve.

— Jak mogę? Całą głupotę zabierasz ze sobą!



Nowy Jork, obecnie.

Barnes spojrzał w niebo, zasnuć ciemnymi chmurami, które zwiastowały deszcz. Mimo wszystko, tłum ludzi zebrał się wokół, jakby brzydka pogoda nie mogła ich powstrzymać przed pożegnaniem największego symbolu wolności, jaki dotąd chodził po tym świecie. Miało być to ostatnie pożegnanie Kapitana Ameryki, który oddał swoje życie, służąc ojczyźnie. Barnes, choć początkowo chciał się trzymać na uboczu, w jakiś sposób został zepchnięty niemal na sam przód widowiska. Wsunął dłonie w rękawiczki do skórzanej, czarnej kurtki, chwilę później czując na twarzy pierwsze krople. Ludzie powyjmowali parasole, ukrywając się przed niesprzyającą pogodą, nie ruszając się jednak ze swoich miejsc. Chwilę później Barnes poczuł, jak ktoś staje obok niego, rozkładając parasol nad jego głową. Spojrzał w bok i zobaczył Falcona, który z poważną miną stał obok niego. Następnie ich spojrzenia spotkały się na moment, a James skinął delikatnie głową w ramach podziękowań. Wilson odwzajemnił gest, a później obaj spojrzeli przed siebie, na trumnę, udekorowaną wieńcami. Słyszał, jak kilka osób zanoszą się cichym

szlochem, ale on sam czuł się wyprany z emocji. Wiedział, że Steve nie miał wyboru, postąpił słusznie, oddając życie za coś, co uważał za słuszne, ale nie eliminowało to tego, że on sam czuł się od teraz po prostu bardzo samotny na tym świecie. Nie wyobrażał sobie istnieć w miejscu, w którym nie ma jego najlepszego przyjaciela. Wiedział, że to będzie wyzwanie, ale wiedział też, że Falcon, który przejął tarczę po Kapitanie, będzie obok, nawet jeśli ich współpraca wciąż wyglądała dość chaotycznie.

Zerknął na Sama, który z wyraźnie poważną miną patrzył prosto na trumnę i na prawiącego kazanie księdza. Nie wiedział, czy uda im się dogadać, na pewno nigdy nie będzie to ta sama więź, która łączyła go z Rogersem. Ale wydawał się w porządku, miał serce po dobrej stronie, jak czasem mawiali w wojsku. Odróżniał dobro od zła i chociaż niewątpliwie Sam działał mu niekiedy na nerwy, tak stał się właściwie jedyną bliską mu osobą po odejściu Steve'a. Osobą, która była też przyjacielem Kapitana, a skoro on tak wybrał, to Bucky zamierzał mu zaufać w tym wyborze. Wierzył, że Steve się nie mylił.

Przemowa właśnie dobiegła końca i teraz trumna powoli znikwała w wykopanym grobie, ale Barnes właśnie poczuł coś dziwnego, jakby ktoś wpatrywał się w jego plecy. Dyskretnie rozejrzał się, ale niczego podejrzanego nie zobaczył, dlatego zmarszczył czoło i w końcu odwrócił się.

— Co jest? — zapytał szeptem Sam, ale on wzruszył ramionami, przez chwilę nawet nie wiedząc, jaką odpowiedź powinien dać. I wtedy ją zobaczył, stała na uboczu, chowając się pod jednym z drzew. Nie mógł jej pomylić z nikim innym, obraz jej twarzy skutecznie wrył się w jego pamięci. — Uspokój się — szepnął ponownie Sam, szturchając go w ramię. Barnes ponownie spojrzał przed siebie, ale przez całą ceremonię czuł jej spojrzenie na swoich plecach. To sprawiało, że wszystko to strasznie mu się dłużyło, poza tym wiedział, że Steve w tej sprawie nie miałby nic przeciwko, jeśli nie skupiał się na jego pożegnaniu. Ich będzie jeszcze zapewne wiele, podczas jego samotnych wypraw na grób Rogersa, ale ona... ona mogła zniknąć w każdej chwili i już nigdy więcej się nie pojawić.

Gdy tylko ceremonia dobiegła końca, James wytrysnął z tłumu i ruszył w jej stronę. Przez chwilę był pewny, że ona zniknie, albo zacznie się oddalać, ale ona wciąż tam stała, nieporuszona, wpatrzona prosto w niego, jakby spodziewała się tego spotkania, jakby tylko na nie czekała.

Znalazł się obok niej, a chwilę później dogonił go Falcon, który co chwilę rzucał irytujące pytania, na które James nie zwracał uwagi.

— Steph — powiedział cicho, zatrzymując się naprzeciwko niej. — To naprawdę ty?

— Czy ktoś może mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje?! — zapytał głośniejszym głosem Sam, machając ręką przed ich twarzami, żeby zwrócić na siebie uwagę. W końcu Barnes na niego spojrzał.

— Sam, poznaj Stephanie Rogers. Siostrę Steve'a.



Przeszłość w swojej potworności wyciągnęła po niego paskudne łapska, próbując pochwycić go w swoje mroczne objęcia i ukołysać do snu wiecznego. Przeszłość bywała okrutna, ale pomimo tego, potrafił znaleźć w niej światełko nadziei, które

przyświecało mu w upartym dążeniu przed siebie.

Przekroczył próg baru i rozejrzał się, poszukując burzy blond włosów. Dostrzegł ją przy jednym z oddalonych stolików i od razu do niej podszedł, siadając naprzeciwko. Przez chwilę po prostu na nią patrzył, nie wierząc w to, że jest tutaj, taka sama, jaką ją zapamiętał, taka, jak pozostała w jego wspomnieniach. Nie postarzała się nawet o dzień, wyglądała jedynie na bardziej zmęczoną. Nie wierzył w to, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, był przekonany, że umarła śmiercią naturalną, szczęśliwa, z mężem u boku, odchowawszy gromadkę dzieci, które poszły swoją drogą. Ale nie, była tutaj, z jakiegoś powodu pojawiając się właśnie teraz. W momencie śmierci Steve'a, jakby przeczuwała, że Barnes został na świecie sam jak palec.

— Steph — powiedział w końcu cicho i wyciągnął dłoń, jakby chcąc ją dotknąć w ramię, ale cofnął rękę w ostatnim momencie. — Co tutaj robisz? Jak w ogóle? Co się stało? Jest tyle rzeczy, o które chciałbym cię zapytać i nie wiem, od czego w ogóle zacząć... ale cieszę się, że cię widzę.

Była jego ostoją przeszłości, czynnikiem tak oczywistym, jak wydychane przez niego powietrze. Czymś wyjątkowo dobrym, co jeszcze zostało w szczątkach w jego umyśle. Nieodłącznym znakiem szczęśliwych wspomnień, które myślał, że utracił raz na zawsze, a jednak jakimś cudem pamiętał. Nie wydarli mu tego z głowy, chociaż nieustannie próbowali. A on pozostał niezłomny na ich działania.

— Steph — powtórzył cicho. — Czemu tu jesteś?



